



AUTOR: **Wiesław Kot** | Czerwiec 27, 2023

Bogusław Linda kończy 70 lat

„Przed komisją weryfikacyjną staje porucznik Franciszek Maurer...”, mówił z offu Zbigniew Zapasiewicz do rozpartego nonszalancko ubeka w pierwszej scenie filmu „Psy”. Był rok 1992 i szeroka widownia wydawała się dostrzegać Bogusława Lindę po raz pierwszy. Nic dziwnego – 13 wcześniejszych filmów z jego udziałem powędrowało na półki. A teraz dla samego aktora, dla polskiego kina i dla naszego życia publicznego otwierał się nowy rozdział.

A przecież Linda zaczął się kręcić w filmowym świecie 20 lat przed „Psami”. Choć debiutował skromnie. W serialu „Czarne chmury” (1973) zagrał halabardnika. „Fantastyczna rola, zero odpowiedzialności – mówił po latach. Można pokazać rodzinie. Tu, w lewym rogu, jestem ja”. Kiedy jednak we wrocławskim przedstawieniu Jerzego Grzegorzewskiego zagrał Hamleta, Andrzej Wajda z Agnieszką Holland poszli do garderoby z pytaniem, jak to możliwe, że do tej pory nie wiedzieli o jego istnieniu. Sam aktor wspominał, że ta rola dała mu pierwsze w życiu poczucie pewności siebie: „Że można trzy godziny być tak naprawdę jedyną osobą na scenie. Zagranie tej roli to wielki egzamin. Hamlet zostaje w aktorze na zawsze”.

Krótko potem Agnieszka Holland dała mu niewielką rolę anarchysty w „Gorączce” (1980), gdzie samą swoją obecnością gasił smutnych rutyniarzy. A Wajda przeznaczył mu w tym samym roku rolę idealisty na posadzie operatora regionalnej telewizji w „Człowieku z żelaza”. Ten film trafił na ekrany, dostał nawet Złotą Palmę w Cannes, co było możliwe tylko w nieopisanym bałaganie, jaki panował w kraju latem 1980 r. Rzecz umknęła cenzurze, ponieważ dialogi kilku współscenarzystów, w tym Holland, pisało z dnia na dzień. Na plan filmowy, na Wybrzeże podyślano je codziennie rano pociągami z Warszawy.

Zresztą myślenia kinem Linda nauczył się od Wajdy już wtedy, gdy jako dziecko oglądał w telewizji „Kanał”. Ale też wtedy, kiedy jako początkujący aktor, zakwaterowany w pokoiku przy Starym Teatrze w Krakowie, chadzał korytarzykiem do ubikacji, a z dołu ze sceny dobiegały kwestie z „Nocy listopadowej”, wystawianej tam właśnie przez Wajdę. No i zagrał jeszcze u Wajdy – na finał – malarza Władysława Strzemińskiego w „Powidokach” (2016). Tyle że wbrew Wajdzie, bo ten chciał uczynić z łódzkiego awangardzisty uniwersalną figurę artysty, który zmagają się z opresją władz. Tymczasem Linda interpretował Strzemińskiego szerzej. „To jest dla mnie bohaterstwo na polską miarę – tłumaczył. – Walczę z władzą, a w domu leję żonę”. Ale tego z kolei Wajda wołał w biografii Strzemińskiego i Katarzyny Kobro nie dostrzegać.

Dylematy inżyniera z Ursynowa

Właśnie taką postać skrachowanego romantyka, inteligenta po przejściach proponowali mu w latach 80. Kieślowski, Zaorski, Bajon. I nie wiedzieć kiedy stał się twarzą „kina moralnego niepokoju”. Aż mu się przejadło. Po latach puentował: „Aktor podobnie jak samochód – szybko może się ludziom znudzić... Przyszedł taki moment, w którym miałem już dość ról inteligentkich. Czuję, że taki inteligent bez poważniejszych doświadczeń życiowych, targany idealistycznymi sprzecznymi to już nie jest bohater na nowe czasy. I to nie ja...”. Jak sam mówił, miał dość grania w kółko tego samego inżyniera z ciasnego mieszkanka w bloku na Ursynowie, który ciągle dostaje w dupę od systemu.

Ale też pilnował proporcji. Po premierze „Psów” krytyka wybrzydzała: „Jaka filozofia, moralność, wizja świata stoi za jego filmem? Żadna! To tylko głupia bajka. Knajacka i zaściankowa”. A Linda prostował, że grając w „Psach”, ciągle tworzy „kino moralnego niepokoju”, tylko w nowej epoce. I tłumaczył: „Jako twórcy byliśmy zde gustowani rządem »czarnych« w Polsce. Byłem po 13 filmach i wszystkie były na półkach. Po coś robiłem te filmy, ale nie po to, by w Polsce do głosu dochodziła obłuda”. Ostatecznie „Psy” były nie tylko czarnym filmem gangsterskim osadzonym w polskich realiach. Był to także film polityczny. Pakowanie teczek tajnych agentów przeznaczonych na spalenie kręcono na dziedzińcu gmachu MSW w czasach, kiedy resortem kierował Antoni Macierewicz. A on ogłosił właśnie listę polityków zarejestrowanych przez Służbę Bezpieczeństwa w roli tajnych współpracowników. W czerwcu tego samego 1992 r., kiedy „Psy” wchodziły na ekrany, afera związana z teczkami doprowadziła do upadku rząd Jana Olszewskiego.

„Psy” zaetykietkowały Bogusława Lindę po raz wtóry. Linda twardziel! Z czasem Linda z coraz większym sceptycyzmem podchodził do wąsko wyprofilowanych ról twardzieli w filmach Pasikowskiego i innych, pomniejszych reżyserów. Wycofywał się. Pasikowski replikował, że dalej będzie kręcił podobne fabuły, ale teraz musi znaleźć kogoś, kto w nich zagra Bogusia. Dziennikarze, którzy robili z nim dziesiątki, może nawet setki wywiadów, chcieli uzyskać potwierdzenie tego hasła. Że jest arogancki, nieprzyjemny, nosi się jak udzielny książę, pozwala się adorować przez kobiety, którymi w gruncie rzeczy gardzi. Że w filmach ciągle pije, byle tylko stylizować się na detektywów z Chandlera. To prawda, w „Psach” czy w „Sarze” (1997) kokietował męską widownię, pijąc wódkę z gwinta. Poza ekranem nigdy tego nie robił. Raz, że wódka bez przymieszki to dla niego zbyt wysoko zawieszona poprzeczka, a dwa, że aktor nie znosi „gwinta”, bo jest „obrzydliwy”. Choć w szkole aktorskiej adeptów testowano w ten sposób, że musiał taki jeden wypić ćwiartkę wódki z plastikowego kubka duszkiem, leżąc w pustej wannie. Student Linda tego egzaminu nie zaliczył.

Z czasem wszystko to przestawało się podobać. 10 lat po roli w „Psach”, która uczyniła z niego kogoś w rodzaju bohatera narodowego, łaskawość publiczności się wahała. W internecie pojawiły się na jego temat komentarze nieprzychylnie, nawet napastliwe. „Byłem mocno podłamany – wspominał.

– Dopiero potem mądrzy ludzie powiedzieli mi, że tego się nie czyta”.

Policzyć do trzech i otworzyć spadochron

Próbował różnych rzeczy – nie wszystkie wychodziły. Kilku projektów nie udało się wdrożyć. Marzyło mu się wyreżyserowanie „Krzyżaków”. Układał już nawet mocne, batalistyczne sceny, wybierał plenery na Mazurach. Niestety, po kłapie „Quo vadis” hojne banki i państwowi sponsorzy zakreśli kurek z pieniędzmi. Niewiele wyszło także z projektu, wedle którego Bogusław Linda miał zagrać majora Henryka Sucharskiego, dowódcę obrony Westerplatte. Film miał być rewizją, a nawet atakiem na legendę obrońców tej placówki, z szumnie zapowiadaną sceną obsikiwania przez żołnierzy portretu marszałka Rydza-Śmigłego. Z występu w „Westerplatte” zrezygnował, kiedy scena po scenie wykresła jego rolę. Na początku tych scen było 57, na koniec zostało sześć. Miał być tylko maskotką, wabikiem, a nie pełnokrwistą postacią filmową. No i najtrudniejsze sceny batalistyczne miały być nakręcone w siedem dni. Już było widać, że to skrajne partactwo. Podziękował za uwagę.

Poza tym Bogusław Linda dawał o sobie znać w życiu publicznym na różne sposoby. Na przykład wtedy, kiedy zdecydował się zostać aktorem wyłącznym filmowym, choć przeważająca większość kolegów zachowywała etat w teatrze. Swoją decyzję tłumaczył: „Nie potrafię co wieczór siedzieć jak idiota przed lustrem w garderobie, stroić miny i wysłuchiwać nudnych opowieści kolegów o robieniu zakupów albo o kolacji, którą zamierzają zjeść po spektaklu”. Przed kamerą dzieje się niby to samo, tyle że to mizdrzenie łatwiej znieść, kiedy aktor Linda pozuje przed bezdusznym okiem obiektywu. I robi to raz, najwyżej kilka razy, jeżeli kręci się duple. „Granie w filmie przypomina skok z dużej wysokości. Trzeba policzyć do trzech i otworzyć spadochron. Albo wyjdzie, albo nie”.

Przypominał, że pracę na planie filmowym zaczynał w czasach, kiedy metr taśmy filmowej kosztował dolara. To były w ówczesnej Polsce ogromne pieniądze. Od tamtych czasów uważa się za aktora pierwszego dubla i tłumaczy: „W pierwszym gram. Potem już mi się nie chce”. Ustawienie aktywności zawodowej powoduje, że trzeba przyjmować także te role, z których nie jest się potem dumnym, byle zarobić na życie na poziomie, do którego się przywykło. „Gdybym żył w Niemczech czy w Szwecji, to z pozycją, jaką tu mam, mógłbym grać raz na dwa-trzy lata – tłumaczył.

– Ale w Polsce nie stać mnie na taki luksus”.

Linda, wróg meneli

Jeszcze w 1986 r. Linda założył pierwszą w Polsce agencję aktorską, między innymi po to, by walczyć z absurdalnym systemem wynagradzania artystów. Polskiemu aktorowi bardziej opłacało się grywanie dziesiątków epizodów niż przykładanie się do jednej poważniejszej roli, bo tylko biegając z planu na plan, wychodził w sensie finansowym na swoje. I Linda podawał przykład – kiedy grał w „Przypadku” (1981) Krzysztofa Kieślowskiego główną rolę, a właściwie rolę głównego bohatera w trzech wcieleniach, na trzy dni zdjęciowe zjawił się na planie epizodysta Ryszard Kotys (najszerszej znany jako Paździoch z serialu o Kiepskich). System płacowy był wtedy tak ustawiony, że w rezultacie Ryszard Kotys za swój epizod dostał gażę sześciokrotnie wyższą niż Linda za rolę główną.

10 lat później, na fali szczytowej popularności, Linda w sposób precedensowy wystąpił w sądzie przeciwko kolorowemu tygodnikowi „Halo”, który oskarżył o naruszenie jego prywatności. Zakończyło się to ugodą pozasądową, co praktycznie oznacza wypłacenie odszkodowania.

Kiedy w jednym z wywiadów Linda ubolewał nad upadkiem łódzkiej Filmówki i uzupełniał, że teraz będzie to już tylko „miasto meneli”, Łódź nie pozostała mu dłużna. Podczas kręcenia „Powidoków” mieszkańcy hałasowali, wystawiali w oknach ryczące głośniki, obrzucali nawet ekipę filmową jajkami, byle tylko odegrać się na aktorze, który tak nisko ocenił ich miasto. Wypominano także Lindzie, że przed wielu lat, kiedy mieszkając w Łodzi, miał dokładnie tę samą pieniędzy co dzisiaj, kiedy jest bogatszy, biegał nocą w melinę przy Włókienniczej po wódkę. W internecie łódzcy „menele” pisali: „To nie Kana Galilejska, panie Linda, tu trzeba zapierdalać”.

Wprawdzie ze szkoły aktorskiej wyrzucali go za zerowe postępy w nauce śpiewania aż trzykrotnie, ale kiedy melodeklamował wiersz Marcina Świetlickiego „Nigdy nie będzie takiego lata”, to ciarki przechodziły po skórze. Świetlicki miał nawet pretensje, że Linda nagrał z jego zespołem tylko jedną płytę. Zarobił na niej sporo pieniędzy, ale do dłuższej współpracy się nie palił. „Absolutna prawda. Dzięki Świetlikom stałem się milionerem, no i wreszcie jestem rozpoznawalny” – skomentował aktor. A w tej konstelacji były jeszcze inne szalone projekty. Marcin Świetlicki, Grzegorz Dyduch i Bogusław Linda mieli zagrać trzech braci, którzy dzielą się kochanką. W tej roli zamierzali obsadzić Annę Dymną. Nie wiadomo, co na to sama aktorka, bo projekt chwilowo uległ zawieszaniu. No i Świetlicki nie mógł mu darować jeszcze jednej rzeczy. Że to właśnie Linda, a nie on, wymyślił słynny tekst: „Będzie dobrze albo niedobrze”.

Przy tym wszystkim Linda uważa się za aktora z powołania, ale zaraz uściśla, co to znaczy. A zwłaszcza, co znaczy w Polsce, gdzie aktor często jest przekonany, że ma do wypełnienia szczególną społeczną misję, że stoi niewiele niżej od narodowego wieszczka. „Zwykle twierdzą tak ci, którzy zaczynają od grania halabardników i na tym kończą” – komentuje. I dodaje: „Artystą się nie jest non stop. Artystą się bywa. I to krótko”. Powtarza też często: „Gdybym miał kasę, z przyjemnością bym to rzucił. Żenuję mnie ten zawód”. W aktorach najbardziej przeszkadza mu narcyzm, płytkość osobowości, pogoń za sławą. Tyle że, jeżeli miałby się raz w życiu otrzeć o coś, co można nazwać sztuką przez duże S, to warto nawet przez wiele lat płatać się po planach byle jakich filmów: „Sztuka istnieje tylko przez moment, a reszta to ciężka praca”. Kiedy pytają go, jak można zostać gwiazdą w Polsce, z miejsca podaje przepis: „Wystąp w telewizji. Niezależnie jak i niezależnie gdzie. Nawet raz. Najlepiej w najgłupszym programie. Wtedy jest szansa, że obejrzy cię bardzo dużo ludzi”.

Na pytanie, czy samego siebie kocha, odpowiada: „Nie widzę powodu”.

Fot. Tricolor/East News

Bądźmy w kontakcie!

Dołącz do newslettera „Przeglądu” i bądź na bieżąco. Otrzymuj informacje o nowych numerach, książkach itd